Nasi w Nowym Jorku

PATRZ STR. 4–5

Fot. Jacek Łopuszyński

WTOREK
ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW
Nr 121 11 X 1988 r. Cena 25 zł

DZIEŃ WOJSKA POLSKIEGO

Fot. J. Łopuszyński

Liderzy szkolnego boiska

PAN JANUSZ

(Inf. wł.) Już zaczyna myśleć o emeryturze. Ale ci, którzy go znają twierdzą, że to chyba nigdy nie nastąpi. Bo pan Janusz Nowak (na zdjęciu) szkoły nie opuści. Jako wuefista przepracował w niej sporo lat i z czasem stała się dla niego drugim domem. Niemal zawsze związany był z bytomskim Zespołem Szkół nr 1, utworzonym ze znanej w kraju „trzynastki". To właśnie jej uczniowie należeli do polskiej czołówki w czwórboju, biegach przełajowych, koszykówce, zwyciężali w międzynarodowych finałach wielu imprez. Dziś są w kadrze kraju juniorów i juniorów młodszych. Były dyrektor Nowak miał widocznie szczęśliwą rękę. Za tym stwierdzeniem chowa się ogrom jego i nauczycieli pracy. Niepozorny budynek bytomskiej szkoły składa się nie tylko z lekcyjnych izb. Jest tam dosłownie wszystko, co potrzeba uczniom-sportowcom, ze skocznią w dal łącznie, którą zbudowano w korytarzu, sauną, salą do ćwiczeń siłowych... Brakuje tylko hali. Ale tej „domowym" sposobem postawić nie można. Pan Janusz (tak zwracają się do niego uczniowie) ma nadzieję, że doczeka się i tego budynku, przestrzennego, z pięknym parkietem i dużymi oknami. Bo na taki zasłużyli jego uczniowie. Wówczas, twierdzi, zajmie się tylko zbieraniem grzybów. **(zp)**

Fot. **Z. Przybyłowski**

PIERWSZE W ŚWIECIE MUZEUM KOMINIARZY

(PAP). We włoskiej wsi Santa Maria Maggiore otwarto ostatnio pierwsze w świecie muzeum kominiarzy. Można tam obejrzeć narzędzia pracy, odzież, emblematy i znaczki kominiarzy wszystkich czasów i narodów. Miejsce muzeum wybrano nieprzypadkowo. Maleńka wioska od stuleci szkoli mistrzów, którzy czyszczą kominy na całym półwyspie apenińskim.

Cudowne dziecko w lekarskim kitlu

ZSRR (PAP). Mając dwa lata czytał i pisał, jako pięciolatek poszedł do szkoły, w 12 roku życia przyjęty został na pierwszy rok studiów medycznych. Po 6 latach nauki ma już dyplom lekarza i za sobą trzyletnią praktykę w dziedzinie neurochirurgii. W tym wypadku upór nie wystarczył. 18-letni Konstantin Slawin — najmłodszy dyplomant w historii Związku Radzieckiego jest po prostu cudownym dzieckiem.

„Halki" z Augustowa

Wyroby Zakładu Produkcyjnego PTTK „Foto-Pam" w Augustowie (woj. suwalskie) słyną zarówno w kraju jak i za granicą ze znakomitej jakości. Nic więc dziwnego, że z roku na rok do „Foto-Pamu" spływa coraz więcej zamówień z Francji, RFN i Szwecji na duże łodzie motorowe „Halka", łodzie „Canoe", bagażniki samochodowe itp. Klientom rodzimym augustowski zakład oferuje przede wszystkim całą rodzinę popularnych „Figlów" i „Bezów", kajaków z żywic i drewna, desek surfingowych, rowerów wodnych oraz łodzi wiosłowych.

Na zdjęciu: ***Mieczysław Banaś montuje łódź „Halka"***

Fot. **CAF**

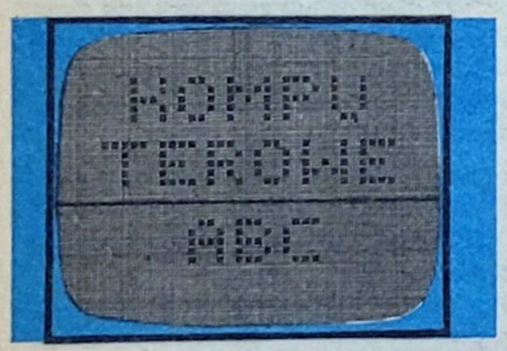

Poznajemy komputery

MYSZ

Przedstawione na zdjęciu urządzenie nazywa się „mysz". Służy ona do tych samych celów co manipulator (joystick) czy pióro świetlne — do przesuwania kursora po ekranie. Manipulator nadal jest najbardziej popularny w grach komputerowych, ale użytkownicy oprogramowania profesjonalnego wolą posługiwać się „myszą".

Chcąc przesunąć kursor na ekranie musimy przesunąć myszkę po stole. Proporcjonalnie do odcinka o jaki przesunęliśmy mysz przesunie się kursor na ekranie. Trzy przyciski na „grzbiecie" mają zwykle znaczenie podstawowych klawiszy funkcyjnych (np. RETURN, ESCAPE), ale to zależy od programu zgodnie z jakim jest używana myszka. Przedstawione na zdjęciu urządzenie jest wyprodukowane przez firmę amerykańską LOGITECH.

CIĄG DALSZY NA STR. 7

Nazywa się CORDA. Skonstruował go w swym warsztacie w mieście Falkesberg (Szwecja) Wolfgang Rabe, mechanik samochodowy. Corda to właściwie zwykły motocykl z przyczepą, ale o zupełnie nowych rozwiązaniach technicznych. 70-konny silnik wysokoprężny z turbodoładowaniem, a także opływowe kształty całej konstrukcji, pozwalają uzyskiwać szybkość do 170 km/godz. Automatyczna skrzynia biegów przenosi napęd na wszystkie trzy koła. Zarówno przednie jak i boczne koło są skręcane. Dzięki temu motocykl prowadzi się łatwo i bezpiecznie. Wprost komfortowe warunki ma pasażer. 900-watowa prądnica zapewnia oświetlenie małej kabinki w przyczepie, a w zimie włączyć można nawet ogrzewanie.

(mjm)

REPORTER Świata Młodych

SKĄD TWÓJ RÓD?

SPOD GNIEZNA

Do małego miasteczka Witkowa, leżącego 15 km od Gniezna, w 1888 r. przybyła rodzina Woźniaków. Pochodzili z Kujaw, lecz zanim przyjechali do miasta, wędrowali po terenach zaboru pruskiego. Kupili w Witkowie 32 morgi ziemi i stary, pożydowski dom przy ulicy Poznańskiej. Antoni Woźniak otworzył również zakład rymarski, a jego żona Wiktoria zajęła się domem. Życie w nowym domu zaczęło się powoli układać: warsztat przynosił dochody, ziemia dobrze rodziła. I tak oto przyszedł szczęśliwy dzień w 1906 roku, kiedy narodził się ich pierwszy syn — Józef.

— Widzisz, Wikcia — mówi Antoni do swej żony — teraz ziemia nie zginie. Józio ją weźmie.

— Oj, Antoni, Antoni — odpowiadała żona — ty tylko o ziemi albo o warsztacie gadasz.

Po dwóch latach rodzina Woźniaków powiększyła się o następnego potomka. Na świat przyszedł Antoni — noszący imię ojca (któremu było dane przejąć później warsztat). Stary Woźniak cieszył się. Rodzili się kolejno: Kazimierz (1909), Tadeusz (1911), Aniela (1912).

Lecz nagle jedno wydarzenie przerwało spokojne życie Woźniaków.

— Mam złe wiadomości — rzekł Antoni — wracając z miasta.

— Jezu, co się stało? — zaniepokoiła się Wiktoria, która właśnie przyrządzała obiad.

— Wojna... — powiedział posępnie Antoni.

— Masz wezwanie? — spytała żona, stawiając gar zupy na stole.

— Mam. Za tydzień odjazd.

Kobieta biadoliła: — Zabiją cię tam, a my tu bez gospodarza pomrzemy.

— A co ja na to mogę... rzekł Antoni i zabrał się do jedzenia. Był 1914 rok...

I tak oto Wiktoria z pięciorgiem dzieci została sama. A wojna to zły czas dla matek z dziećmi, ale jednak wszystkie chodziły do szkoły. Jak i inni uczniowie musiały się posługiwać językiem niemieckim, a nauczyciele byli srodzy: „w szkole niemieckiej mówi się po niemiecku" — mówili.

Pewnego dnia Kazik przyszedł ze szkoły bardzo wesoły.

— A co ci tak wesoło? — spytał brata Antek.

— Zrobiliśmy dzisiaj kawał naszej nauczycielce — odpowiedział Kazimierz.

— Jaki, jaki? — dopytywał się Tadek, który jeszcze nie chodził do szkoły.

— Mieliśmy lekcje, kiedy nagle nauczycielkę zawołali do kierownika. Poszła więc, a my zaczęliśmy się naradzać, jakiego by tu psikusa jej zrobić. Musicie wiedzieć, że ona za byle co waliła nas rózgą po ręce. Tak więc wyrzuciliśmy tę rózgę za okno. Nauczycielka przychodzi, patrzy, a tu rózgi nie ma. „Gdzie moja rózga?" — pyta. A my nic. Była zła, ale rózgi nie znalazła. I nie było bicia tego dnia.

Czas mijał. **Był już rok 1918.** Pewnego dnia ktoś zapukał do domu przy Poznańskiej. Jakaż to była radość, kiedy przybyłym okazał się mąż: w niemieckim mundurze, nieco postarzały, ale cały!

— Huura, tatuś przyjechał z wojny!!! — krzyczała dzieciarnia, skacząc wokół ojca. Nadchodził koniec wojny. Antoni Woźniak przyjechał do domu właściwie na urlop. Gdy czas było wracać, kolejką wąskotorową pojechał do Gniezna, dalej jednak transportu już nie było. Wrócił więc do domu. Nie był jedynym żołnierzem, który odpoczywał na urlopie w domu. W Witkowie było wielu takich ludzi. Pewnego dnia, według starego zwyczaju, jeden z mieszkańców miasteczka chodził po ulicach dzwoniąc dzwonkiem. Oznaczało to, że mieszkańcom miasta zostanie przekazany komunikat. Na spotkaniu witkowianie uważnie słuchali, co mówił jeden z przybyszów.

— Słuchajcie, Polacy! Wybiła godzina dla Polski. Wy ją wyzwolicie spod jarzma zaborców. Do broni!

— Będzie Polska — oznajmił Antoni przychodząc do domu. — Idę walczyć. Obejmiemy władzę. Potem pójdziemy na pomoc Poznaniowi.

— I nie będzie mówienia po niemiecku w szkole? — zapytał Józek, który wprost nie cierpiał tego języka.

— Nie, będzie wolna Polska — odparł ojciec.

Starosta witkowski nie łatwo zrezygnował z urzędu, ale pod presją obywateli zgodził się i podpisał dokument, który upoważniał Polaków do sprawowania władzy w mieście. Co jakiś czas było słychać strzały. W końcu Witkowo zostało jednak opanowane przez Polaków i byli żołnierze niemieccy — Polacy mogli ruszyć na pomoc poznaniakom. Antoni Woźniak poszedł razem z nimi. Wrócił po kilkunastu tygodniach oznajmiając:

— Mamy Polskę!!!

Życie nie było usłane różami. Pieniądz tracił wartość. Kupiona mąka po tygodniu podwajała swoją wartość. W rodzinie Woźniaków przybywało dzieci. W 1920 roku urodziła się Hanna. Antoni z synami nie pozwalał, by w domu panował głód. Pola obsiane znowu rodziły, rymarstwo przynosiło dochody. Wszystko szło dobrze, dopóki nie nadszedł 1922 rok, w którym rodzinę Woźniaków nawiedziło nieszczęście. Dom przy Poznańskiej stanął w płomieniach. Zostały z niego zgliszcza. Rodzina rozłączyła się. Część zamieszkała u sąsiada, chłopaki u innego znajomego.

Po niedługim czasie jednakże na starym miejscu stanął duży, piętrowy dom.

Witkowo odległe od dużych miast żyło własnym rytmem. Mimo to znać było, że najnowsza moda nie jest obca miastu. Cała „kawalerka" witkowska chodziła z modnymi wtedy laskami. Także i synowie Antoniego nie zostawali w tyle. Bardzo popularne były potańcówki organizowane latem. Młodzież z okolicznych miast i wsi zbierała się razem i hulaj dusza: tańce, zabawa, śmiechy. Oczywiście panowie przychodzili z laseczkami. Laski zostawiano w szatni i czasami można było swej własności już nie zobaczyć. Pewnego letniego wieczoru Kazimierz bawił na takiej potańcówce. Mimo że dnia następnego miała być młócka, to Kazik nie wracał do domu. Pojawił się dopiero około 6 nad ranem. Chcąc się nieco przespać zaczął się przebierać. Wszyscy jego bracia spali w najlepsze. Właśnie gdy nasz bohater miał zamiar położyć się do łóżka, wszedł Antoni i widząc syna nie śpiącego rzekł:

— Chociaż jeden co o robocie myśli. — Proszę wyobrazić sobie minę Kazimierza.

Kraj był jeszcze słaby, choć wolny. Przeprowadzono wiele reform, nie zapomniano i o rolnictwie. Hrabia z Niechanowa zastosował się do reform, które zalecały podział ziemi na działki i sprzedaż ich rolnikom. Skorzystał z tego także Antoni Woźniak. Hrabia dla Witkowa przeznaczył 4 działki po 4 morgi. Antoni poszedł na umówione miejsce, aby tam dobić targu. Po dość długim czasie wrócił i zaczął opowiadać:

— Przyszedłem na miejsce, a tam był tylko jakiś urzędnik hrabiego. Trzej pozostali kandydaci do kupna ziemi nie przyszli. Tak więc mnie namówił, ażebym kupił całe 16 morgów, co i zrobiłem.

— A na co nam tyle ziemi, kto to obrobi? — martwiła się Wiktoria.

— Chłopaki już duże, będzie dobrze — uspokajał ją Antoni. Na tym się jednak nie skończyło. Po niedługim czasie w równie przypadkowy sposób gospodarstwo Antoniego powiększyło się o nowe 32 morgi. Woźniakowie posiadali już 70 mórg, co było już dużym majątkiem. Wszystko się dobrze układało. Dzieci stały się dorosłe. Józef z Tadeuszem zajęli się rolą. Antoni został rymarzem. Kazimierz krawcem, Aniela zajmowała się domem, a Hanka miała zostać rolniczką.

W czasie II wojny światowej po 1939 roku Niemcy przesiedlili większość polskiej ludności Witkowa na teren Generalnej Guberni. Ten los nie minął i rodziny Woźniaków, która w ciągu 10 minut musiała opuścić mieszkanie. W bydlęcym wagonie zostali przetransportowani do Krakowa.

Na wygnaniu zmarł Antoni, z dala od Witkowa, o którego polskość walczył. Wiktoria zmarła w latach sześćdziesiątych w Witkowie, do którego powróciła z dziećmi zaraz po wojnie.

Jest rok 1988. Ta historia jest prawdziwa. Wszystko zostało oparte na wspomnieniach mojego dziadka — Kazimierza Woźniaka.

Agnieszka Rzepecka (l. 13)
Warszawa

Z NIEMIEC DO POLSKI

Jak wiadomo, każdy człowiek ma wiele „gałęzi" swojej rodziny. Mogłabym opisać każdą z nich, ale ograniczę się do — moim zdaniem najciekawszej — rodziny matki mojej matki, czyli babci.

A więc urodzona około 1820 roku moja praprapraprababcia Kate Cyrzon była Niemką i wychowała się w niemieckiej rodzinie, a w 20 lat później poślubiła Otto Hoffmana. Mieszkali koło obecnego Miastka w Dretyń, rodzinnym mieście Kate, i mieli córkę, która wyszła za Bolesława (Boleslausa) Cöppke. Z tego małżeństwa w 1873 r. urodziła się moja praprababcia Szarlotta. W roku 1897 poślubiła ona o rok od siebie młodszego Józefa Wyszyńskiego. Szarlotta urodziła pięcioro dzieci. Moja prababcia, to Marta, zaś jej córka (ur. 1922 r.) — to moja babcia, która wychowała się u swoich dziadków — Szarlotty i Józefa Wyszyńskich. W czasie okupacji została wywieziona na roboty do Niemiec i tam poznała mojego dziadka — Józefa Zabrockiego. Chociaż przedtem mieszkali blisko siebie, musieli wyjechać aż pod Berlin, aby się spotkać! Trzeba tu dodać, iż babcia była piękną dziewczyną. Oświadczył jej się nawet jakiś Amerykanin, ale miłość do rodaka zwyciężyła i w 1942 r. została panią Zabrocką. Zamieszkali w Prusach w gospodarstwie dziadka. W 1947 r. urodziła się im, jako trzecia z kolei, Benigna, czyli moja mama. Genia Zabrocka zaczęła pracować jako sprzedawczyni w sklepie spożywczym w Kościerzynie i tam poznała kinooperatora Kazimierza Bella. Ich ślub odbył się w 1969 r., a rok później na świecie pojawiłam się ja...

Grażyna Bella
(której dzieje rodziny opowiedziała babcia, podczas pobytu u niej na wakacjach)
Kościerzyna

KĄCIK PRZYJACIÓŁ

● Mam 14 lat i dwuletniego brata Mateusza, którego bardzo kocham. Bardzo lubię otrzymywać i odpisywać na listy, jest to dla mnie prawdziwa rozrywka. Ostatnio grono moich korespondentów znacznie się zmniejszyło, dlatego szukam nowych przyjaciół przez „KP". Chciałabym, żeby napisali do mnie głównie chłopcy, ponieważ wydaje mi się, że bardziej nadają się na prawdziwych przyjaciół, mam do nich większe zaufanie, **Iwona Filipowska, ul. 1000-lecia 92/228, 40-871 Katowice;** ● Mamy po 15 lat, interesujemy się muzyką punkową, lubimy dobre filmy, sport i książki. Chcielibyśmy korespondować z dziewczynami (nie tylko) o podobnych zainteresowaniach, **Andrzej Koziak, ul. Rynek 4a/9, 57-100 Strzelin, Robert Pindral, ul. Wrocławska 20/4, 57-100 Strzelin;** ● Chodzę do VII klasy, mam niebieskie oczy, ciemne włosy i duży nos. Urodziłam się 30 marca, w Wielkanoc, a więc jestem spod znaku Byka. Wszyscy mówią, że jestem uparta i zarozumiała, ale nie jest to prawdą. Mam pecha. Bardzo kocham zwierzęta i w przyszłości pragnę zostać weterynarzem. W domu oczywiście mam chomika Nukę. Interesuję się filatelistyką, biologią, geografią i matematyką. W wolnych chwilach czytam, szyję, robię na drutach i szydełkiem, wyszywam albo słucham muzyki. Najbardziej lubię: AC/DC, Iron Maiden, Metallice, Europe, Papa Dance, A-ha, Sabrinę, Alana Michaela i wielu innych. Bardzo lubię lody. Uczę się grać na gitarze. Zbieram wielę różnych rzeczy. Bardzo liczę, że ktoś do mnie napisze, **Joanna Padiasek, ul. Szczecińska 6/4, 74-100 Gryfino;** ● Mam 15 lat, kocham Szwecję, wyróżniam Iron Maiden, Def Leppard i Scorpions. Czeka na listy, **Marita Isaksen, ul. Oriona 22/2, 67-200 Głogów;** ● Mam 14 lat i bardzo bym chciała znaleźć przyjaciółkę lub przyjaciela, któremu mogłabym zaufać. Miałam prawdziwą przyjaciółkę, ale wyprowadziła się i zostałam sama. Chcę poznać ludzi dobrych, miłych i uczciwych, **Iwona Kruczyńska, ul. Dąbrówki 8a/42, 86-300 Grudziądz;** ● Jestem czternastolatką, interesuję się literaturą i historią Polski. Pasjonują mnie podróże i egzotyczne kraje. Lubię dobre filmy, Madonnę, Sabrinę i uśmiech na twarzy. Nie cierpię szpanu, papierosów i alkoholu, **Anita Gaisior, os. Powst. Śl. 5f/6, 44-240 Żory;** ● Mam 17 lat, troszeczkę nieśmiałości, a w głowie mnóstwo zwariowanych pomysłów. Kocham wszystko co piękne: góry, włóczęgę, ogniska, gitarę, i w ogóle życie. Marzę o paczce przyjaciół, z którymi, jak to się mówi, można „konie kraść". Chciałabym poznać idee punków, hippisów i wszystkich ciekawych ludzi, którzy do mnie napiszą, **Ewa Grabias, ul. Koncertowa 7/12, 20-843 Lublin;** ● Mam 12 lat. Zbieram znaczki i pocztówki, hoduję rybki. Gram na flecie i pianinie. Szukam przyjaciela, **Joanna Nazarko, ul. Podedwornego 4b/111, 15-269 Białystok;** ● Jestem piętnastolatką interesującą się wieloma rzeczami. Lubię poezję także śpiewaną, muzykę różnego rodzaju, grę na gitarze, wędrówki z plecakiem, koszykówkę, tenis stołowy, kajakarstwo, pisanie wierszy, książki, kwiaty, zwierzęta. Chciałabym poznać nowych ludzi, **Iwona Powierza, ul. Miła 42, 05-200 Wołomin.**

REDAKCYJNA POCZTA

Sposoby Ewy na kłopoty

Piszę do Was, bo chce mi się śmiać, gdy czytam listy, na których pewnie są plamy od łez... Jestem 14-letnią, brzydką dziewczyną z piegami i krzywymi nogami. Ale ja nie przejmuję się tym i noszę nawet spódniczki mini.

Jesteś gruba? No to nie jedz drugiego śniadania, podwieczorku i kolacji. Odłóż słodycze i zacznij regularnie ćwiczyć.

Masz niezgraną klasę? Zorganizuj jakiś wspólny wypad, albo prywatkę. Zapoznacie się lepiej i polubicie.

Masz w klasie łobuzów? Możecie np. na godzinie wychowawczej w formie teatrzyku wyśmiać ich „kulturę".

Podoba Ci się jakiś chłopak (dziewczyna)? Podejdź, zapoznaj się z nim, nawiąż kontakt.

Masz kłopoty w domu? Weź się w garść. Pokaż na co Cię stać. Porozmawiaj z domownikami. Domagaj się, aby Cię posłuchali. Powiedz, co Cię boli i denerwuje. Wiem, że czasami awanturą można coś wywalczyć.

Żyje się raz i życie trzeba przeżyć jak najlepiej. Wystarczy trochę inteligencji, szaleństwa, dobrych chęci i uśmiechu.

Ewa z VIII klasy
SP w Szubinie

Dziewczyny nie są gorsze

Mam 17 lat. Do RP piszę po raz pierwszy. W numerze 95 „Świata Młodych" przeczytałem list Miśki. Pisze ona iż... *„tylko z chłopcami można wszystko"*. Ja uważam, że również z dziewczętami można rozmawiać na ciekawe tematy, można „kraść konie", można miło i dobrze spędzać czas.

Misiu, nie dyskryminuj dziewcząt. Piszesz... *„bardzo lubię chłopców"*. Z Twojego listu wynika, że tylko chłopcy się liczą, tylko im ufasz i tylko ich lubisz. Trochę chyba nas przeceniasz. Gdybyś wiedziała naprawdę o czym chłopcy myślą, co mówią między sobą, jak się zachowują, na pewno trochę zmieniłabyś swój pogląd i bardziej przyjaźnie spojrzała na koleżanki.

Ja mam dziewczynę, jest ode mnie o 4 lata młodsza — czyli dość dużo — jest bardzo romantyczna i subtelna. Nie uzewnętrznia swoich nieustabilizowanych jeszcze poglądów. To chyba dobrze. Myślę, że dopóki człowiek nie wyrobi sobie stałych poglądów, dopóty nie powinien się z nimi obnosić.

Swoją dziewczynę bardzo kocham. Świata za nią nie widzę, mimo że widujemy się tylko w czasie wakacji.

Za pośrednictwem „ŚM", przy okazji — chciałem pozdrowić swoją dziewczynę — cześć Jolu!

Maciek

Ratunku!

Mój list pt. „Przyjaźń na wakacje" został wydrukowany w numerze 91 „ŚM". Zostałam zasypana listami. Dostałam ich (na razie) 80 i ciągle nadchodzą nowe. Odpisałam już na prawie 30, ale reszta przerasta moje możliwości. Błagam, nie piszcie już! Przepraszam tych, którzy nie dostaną odpowiedzi. Przepraszam Anie, Baśki, Kasie, Moniki, Gośki z Warszawy, Lublina, Zielonej Góry itp. Dziękuję za kolorowe pocztówki, ale naprawdę nie mogę na wszystkie odpisać. Myślę, że mnie zrozumiecie...

Cześć!

Aga Nyka

AKADEMIA WILKÓW MORSKICH

Gdy miałem kilka lat, koniecznie chciałem zostać wojskowym i służyć w Marynarce Wojennej. Bo cóż może być przejemniejszego — myślałem wtedy — niż pływanie po słonecznym Bałtyku, słodkie leniuchowanie z rzadka tylko przerywane porannymi apelami i próbnymi alarmami bojowymi. I tkwiłbym może w tym przekonaniu o lekkiej służbie żołnierzy w niebieskich mundurach do dziś, gdyby nie niedawna wizyta w gdyńskiej Akademii Marynarki Wojennej im. Bohaterów Westerplatte. Tu niestety rozwiały się moje dawne złudzenia o marynarskim romantyzmie.

1

Nim przyszli wilcy morscy obejmą stanowiska na okrętach wojennych, czeka ich pięć lat niełatwych studiów w tutejszej szkole. Za to później są specami co się zowie! Z górą od 40 lat akademia kształci żołnierzy na dwóch wydziałach: dowódczym i technicznym. I choć jest jedyną tego typu uczelnią w kraju, w pełni zaspokaja potrzeby wojska na młode kadry. Jej słuchaczami mogą zostać tylko najlepsi z najlepszych: tak w nauce jak i pod względem zdrowotnym. Poważniejsze choroby przebyte niegdyś czy też dawne urazy nierzadko przekreślają szanse młodego człowieka, który chciałby ruszyć na podbój mórz i oceanów.

Tak jak pierwszym po Bogu na okręcie jest kapitan, tak pierwszymi w szkole są komendant i jego zastępcy. Gdy wszelkim formalnościom stało się już zadość i otrzymaliśmy przepustki uprawniające do przekroczenia progu akademii (a jakże porządek w wojsku musi być!) zapukaliśmy do drzwi zastępcy komendanta szkoły **komandora Zbigniewa Buszydło.**

— Witam panów redaktorów z harcerskiej gazety — usłyszeliśmy od progu. — Sam byłem kiedyś harcerzem, a to zobowiązuje mnie do udzielenia wam pomocy. Czym możemy służyć? — zapytał.

Wyłuszczyliśmy pokrótce, że chcielibyśmy napisać o marynarskim życiu, romantycznej służbie i beztroskich dniach spędzanych na morzu. — Z tym romantyzmem nie jest tak, jak wam się wydaje, ale proszę bardzo — chodźcie, szukajcie, obserwujcie. Może uda się wam go znaleźć — śmieje się komandor. Odbywa kilka rozmów przez telefon, znajduje nam przewodnika i już możemy udać się na poszukiwania.

NA OKRĘCIE FAJNO JEST

„Teren wojskowy. Wstęp wzbroniony" — informują tablice stojące u wejścia do portu na Oksywiu. Dzięki opiece **kapitana Janusza Kuklińskiego** i naszym przepustkom możemy ten zakaz złamać i... już stoimy na portowym nabrzeżu, przy którym zacumowane są okręty szkolne Akademii Marynarki Wojennej. Niech was jednak nie zmyli nazwa „okręty szkolne". Podobne są bowiem do jednostek jakie cywile, najczęściej oglądają na zagranicznych filmach wojennych. Gdyby takiemu laikowi jak ja powiedział ktoś, iż oto oglądam amerykański kuter pościgowy albo okręt o napędzie atomowym, też bym z pewnością uwierzył.

2

Na zdjęciach:

1. Na portowym nabrzeżu zacumowane okręty czekają na rozkaz wyjścia w morze

2. Wchodzących na pokład wita się specjalnym gwizdem

3. Praktyczne zajęcia na mostku kapitańskim pozostaną na długo w pamięci

4. ORP „Wodnik" w całej swej okazałości

Gdyńska szkoła ma sześć takich jednostek. Nam udało się zwiedzić ORP „Wodnik". Pełniący u wejścia wartę młody marynarz prowadzi do kabiny reprezentacyjnej. — Uwaga na nogi i głowę — ostrzegł nas, nim weszliśmy w ciasne korytarze. Bo prawie każdy nowicjusz prędzej czy później musi nabić tu sobie guza. Przejścia są niskie, progi wysokie, wystarczy chwila nieuwagi... i siniak gotowy.

W niewielkim saloniku czekał na nas **kapitan Bogdan Kurek**. Za malutkimi, okrągłymi okienkami hulał wiatr i padał deszcz, my zaś w wygodnych fotelach pijąc gorącą herbatę słuchaliśmy opowieści o marynarskim życiu studentów gdyńskiej akademii.

Nim w październiku najmłodszy narybek zasiądzie w szkolnej ławie, czeka go tygodniowy rejs kandydacki po Morzu Bałtyckim. Dla młodych ludzi jest to pierwszy kontakt z marynarskim życiem. Kontakt dodajmy nie zawsze najciekawszy. Bo oto zamiast stanąć za kołem sterowym — jak marzą niektórzy — zaczynają swą przygodę z morzem od szczotki, wiadra i nauki szorowania pokładu. Jest to jedna z najważniejszych czynności na okręcie. Morska woda nasycona solą niczym kwas zżera metalowe i drewniane części. Stąd konieczność codziennego mycia i pucowania. Ten pierwszy rejs jest próbą charakteru ludzi, którzy pragną swe życie związać z morzem. Jest okazją do konfrontacji własnych planów i marzeń z twardą, marynarską rzeczywistością. Zdarza się, że po tygodniowym rejsie niektórzy rezygnują. Cóż, nie tak wyobrażali sobie marynarskie życie.

Prawdziwą szkołę morza przechodzą podchorążowie po ukończeniu drugiego roku nauki, w trakcie wakacyjnej praktyki nawigacyjno-astronomicznej. Rejs ten jest o tyle trudniejszy, że do portu wpływa się tylko 2–3 razy i to jedynie dla uzupełnienia paliwa, okręty są bowiem prawie samowystarczalne. W olbrzymich ładowniach mieszczą się tony żywności i kilka tysięcy butelek napojów. Okrętowa piekarnia codziennie wypieka świeże pieczywo i chrupiące bułeczki. Z wodą również nie ma problemów, gdyż okrętowa aparatura zdolna jest w ciągu doby oczyścić i odsolić 12,5 tony wody morskiej. Jedynie ropy nie można zabrać zbyt wiele, trzeba więc uzupełnić jej zapas.

DOOKOŁA WODA I NIC POZA TYM

W rejs wypływa się w połowie czerwca, ale już wczesną wiosną rozpoczyna się okres przygotowań. Cały ciężar spada głównie na służby kwatermistrzowskie. Trzeba uzupełnić zapasy mięsa i warzyw, paliwa i smarów, części zamiennych. Dokładnie należy sprawdzić silniki i inne urządzenia, od których zależy bezpieczeństwo okrętu. I najważniejsza rzecz — skompletowanie wszystkich map na całą wyprawę. Gdy wszystko już zapięte na ostatni guzik, a studenci uporali się z sesją egzaminacyjną, można odpływać. Na nadbrzeżu żegnają ich nauczyciele, rodzice, no i oczywiście narzeczone. W oczach mam pojawiają się łzy, dziewczyny machają chusteczkami. Gra oczywiście orkiestra wojskowa. Pada rozkaz: „Kotwicę w górę" i statek odbija od portowego nabrzeża.

Płynie najczęściej na Atlantyk albo na Morze Śródziemne. Jak mówią marynarze, jest tam „lepsze niebo". Nocą świeci więcej gwiazd i dzięki temu dokładniej można poznać techniki nawigacji. Załoga podzielona na 3 zmiany pełni w ciągu doby 7 wacht. Do najmniej przyjemnych należy ta między północą a 4 rano — tzw. psia wachta. Dlaczego? Przed służbą można przespać się najwyżej półtorej godziny, po służbie trochę więcej, bo do wpół do ósmej. Rano trzeba zdążyć na zajęcia, które zaczynają się o 8.30 i z przerwą na obiad trwają do szesnastej. Ćwiczenia są bardzo różnorodne, ale wszystkie mają jedno na celu — praktyczne poznanie tego, o czym była mowa w czasie zajęć teoretycznych: w maszynowni i przy sterze, w kabinie nawigatora i radiotelegrafisty.

A co robi się na okręcie w czasie wolnym od ćwiczeń i wacht? — Oczywiście, zawsze można się zająć sprzętaniem okrętu — śmieje się kpt. Kurek. — Ale mówiąc poważnie, staramy się mądrze zagospodarować ten czas. Organizujemy różne gry i zabawy marynarskie jak bieg z jajkiem na łyżeczce dookoła okrętu czy przeciąganie liny. Często przygotowujemy festyny sportowe i dyskoteki (tak, tak, choć niestety — bez dziewczyn), a w czasie ładnej pogody można po prostu wyjść na pokład poopalać się. Do dyspozycji studentów jest również telewizja i wideo. Dużym przeżyciem jest dla nich z pewnością chrzest morski nowicjuszy, którzy po raz pierwszy przekraczają linię Gibraltaru. Uciechy jest wtedy co niemiara — oczywiście dla widzów — a że sami zainteresowani poobijani i posmarowani różnymi miksturami nie przejawiają tej wesołości — to już inna rzecz. Ale przejść musi to każdy. Takie są niepisane prawa ludzi morza.

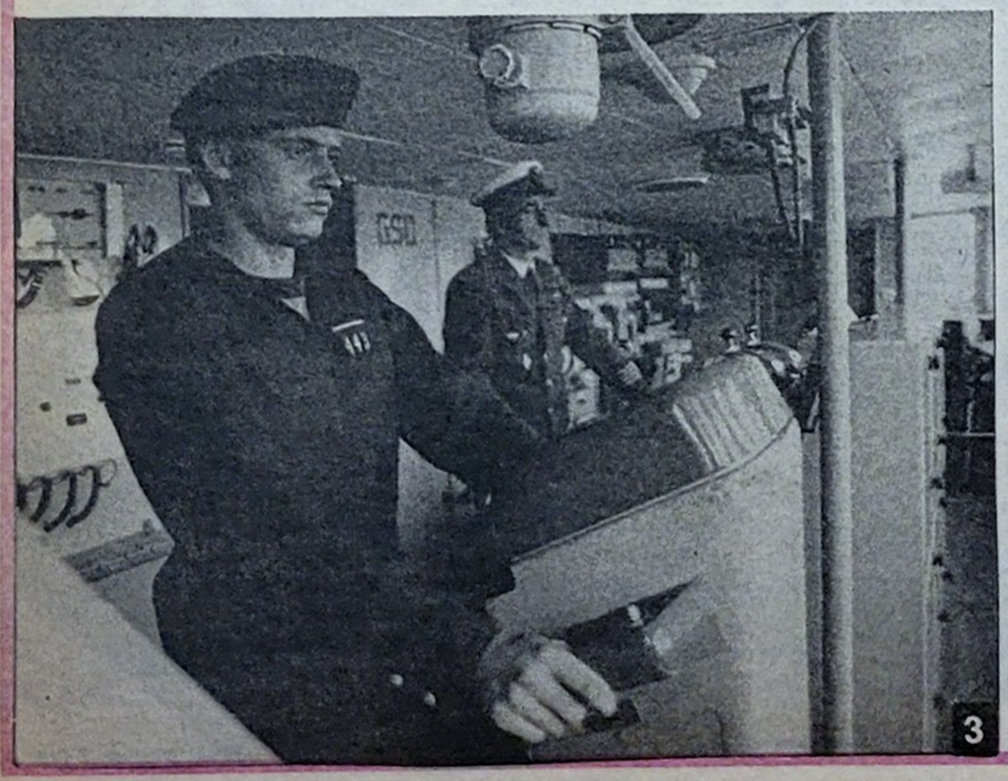

3

Zdjęcia MAREK SZYMAŃSKI i archiwum

DOKOŃCZENIE NA STR. 6

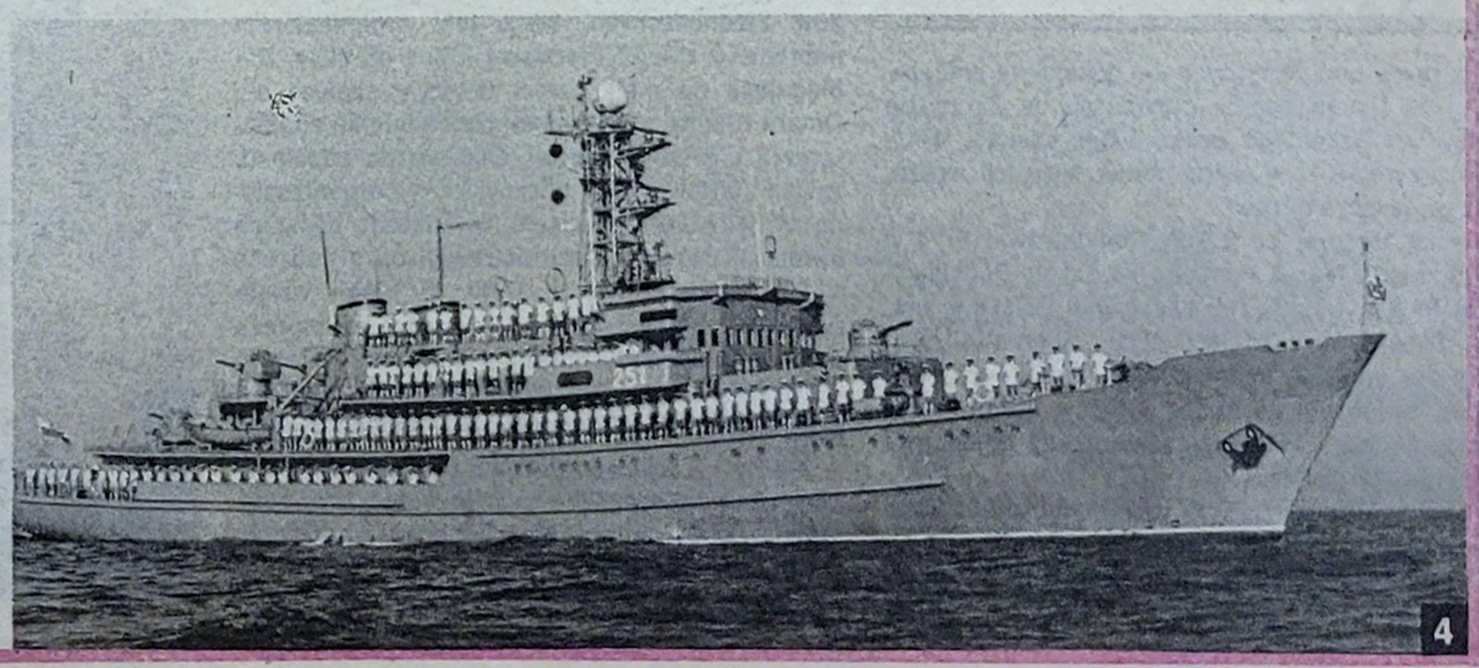

4

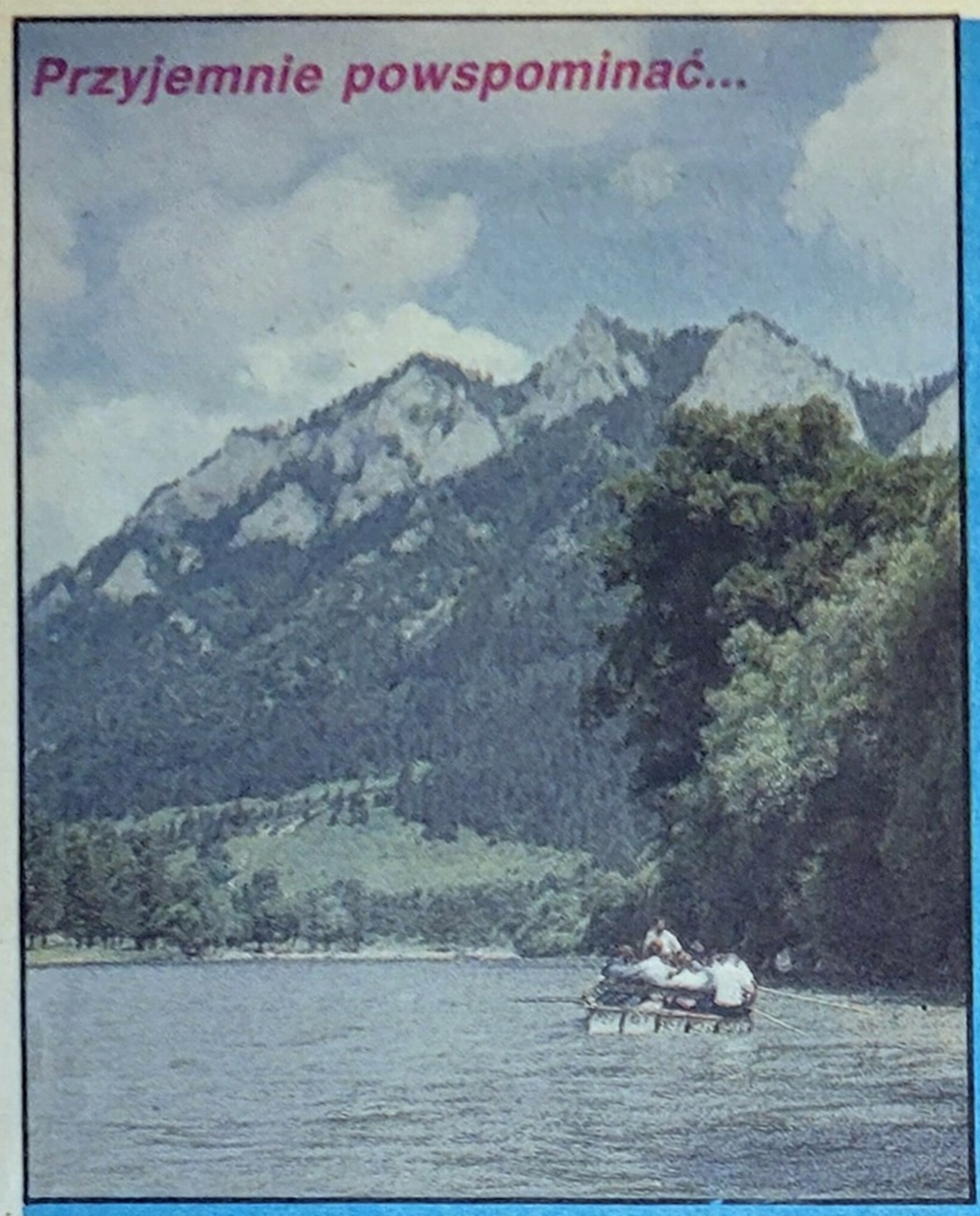

PRZE-ŁOMEM

Łódkę do drogi strumień kołysze
I pianą rosi nadbrzeżne mchy;
Płynmy więc w ciemność i nocną ciszę,
W krainę cudów, marzeń i mgły.

Głowę swą oprzyj na mym ramieniu
I do księżyca obróć swą twarz.
I oświecona w bladym promieniu
O widmie szczęścia dumaj i marz!

Adam Asnyk

DUNAJCEM

Tę wycieczkę trzeba odbyć samemu. Nie zastąpią jej żadne zdjęcia ani opisy, nawet najwybitniejszych poetów. Wszystko jest niepowtarzalne: i drewniane długie czółna powiązane po pięć, wymoszczone pachnącymi gałązkami jedliny; i ich dwuosobowa flisacka załoga w góralskich strojach, ze służącymi do odpychania od dna rzeki żerdziami w dłoniach; i szumiący, spieniony tu i ówdzie Dunajec, niosący z prądem tratwę za tratwą; i wreszcie Pieniny — zieleń lasów, sterczące w górę skały, czasami blisko, na wyciągnięcie ręki, czasami sięgające hen, nieba. Świat jak z bajki. Inny, gdy świeci ostre słońce, które każe patrzeć na wszystko spod przymkniętych powiek. Inny, gdy niebo się zachmurzy, wszystko wokół pociemnieje, a może i lunie ulewa, ciemność przetną błyskawice, a ciszę i jednostajny szum wody zakłócą uderzenia gromów. Przeżyłem burzę podczas nie dokończonego wtedy spływu i wiem, jak to wygląda.

Tego dnia pogoda też nie zapowiadała się najlepiej, ale już w przystani fli-

Nasi w Nowym Jorku

A oto uczestnicy biegu w Nowym Jorku — Anna Metzger i Marek Pomietło

Prawie podpierających się nosami ze zmęczenia i niewyspania dopadliśmy w Zarządzie Głównym Szkolnego Związku Sportowego. Właśnie przylecieli z Nowego Jorku, więc ich wrażenia są jeszcze gorące.

Anna Metzger ze Szkoły Podstawowej Nr 4 w Zgorzelcu i Marek Pomietło ze Szkoły Podstawowej Nr 3 w Dębnie reprezentowali Polskę w biegu dziecięcym w ramach akcji „Sport Aid". Celem tej wielkiej imprezy jest zwrócenie uwagi opinii światowej na trudną sytuację krajów Trzeciego Świata i zebranie pieniędzy na pomoc dla głodujących dzieci.

„Świat Młodych": — *W jaki sposób znaleźliście się w Nowym Jorku?*

Anna: — Oboje braliśmy udział w Ogólnopolskich Igrzyskach Młodzieży Szkolnej, w których zajęliśmy najlepsze miejsca.

Marek: — Liczyły się także wyniki w nauce. Jesteśmy nie tylko dobrymi sportowcami, ale i dobrymi uczniami.

„ŚM": — *Czy moglibyście powiedzieć coś więcej na temat kampanii „Sport Aid"?*

Marek: — W 1986 r. odbył się pierwszy bieg tego typu. Jego celem była pomoc dla dzieci z krajów rozwijających się. Za pomysłodawcę idei uważa się maratończyka z Sudanu, Omara Khalifę, który w tymże roku dokonał niezwykłego wyczynu — obiegł świat dookoła. W tegorocznym biegu właśnie Omar Khalifa zapalił znicz na znak rozpoczęcia imprezy. Musimy się pochwalić! Zdobyliśmy autograf tego znakomitego maratończyka.

Anna: — Właściwie były dwa biegi. Nasz — dziecięcy — na dystansie 1 mili, czyli około 1,6 km, oraz masowy bieg uliczny na dystansie 5 km nazwany „Wyścigiem z czasem". Nasz mały bieg kończył się tuż przy siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych, która jest organizatorem imprezy, u zbiegu Pierwszej Alei i 45 ulicy. Dobiegające do mety dzieci tworzyły szpaler dla Omara Khalify, który wnosił pochodnię ku znajdującemu się tam zniczowi. Dopiero po zapaleniu znicza startował bieg uliczny, który zorganizowano w tym samym czasie w kilkuset miastach świata. W Nowym Jorku startował on o godzinie 11.00, w Warszawie o 17.00. W biegu wzięło udział 32 mln ludzi na całym świecie. Impreza przyniosła podobno ogromne pieniądze — około 40 milionów dolarów, które oczywiście zostaną przekazane dla dzieci z krajów Trzeciego Świata.

„ŚM": — *Obserwowaliśmy z uwagą warszawski „Wyścig z czasem" dookoła Stadionu Dziesięciolecia, zazdroszcząc Wam jednak troszeczkę wspaniałej wycieczki do USA...*

Marek: — W Nowym Jorku byliśmy tylko dwa dni. Niewiele zdążyliśmy zwiedzić i zobaczyć. Oglądaliśmy wszystko wyłącznie przez okna samochodu, bo na nic więcej nie było czasu. Samochód należał do pana Janusza Matusewicza — Amerykanina polskiego pochodzenia, który jest maratończykiem i jednocześnie współorganizatorem wszystkich maratonów nowojorskich. Pan Matusewicz obwiózł nas po Manhattanie i Brooklynie, pokazał nam z bliska Statuę Wolności, Metropolitan Operę i wiele innych ciekawych miejsc w Nowym Jorku.

Anna: — Po drodze do Nowego Jorku wylądowaliśmy w Londynie, gdzie była zbiórka większości zaproszonych na bieg delegacji dziecięcych. Do biegu trenowaliśmy w londyńskim Hyde Parku. A potem dopiero ogromnym czarterowym Jumbo-jetem polecieliśmy do Stanów Zjednoczonych. W samolocie obejrzeliśmy sobie dwa nowe amerykańskie filmy fabularne.

„ŚM": — *Wasze najbardziej i najmniej przyjemne wrażenia z wyprawy za ocean...*

Marek: — Najpiękniejsze chwile były podczas biegu, kiedy przedstawiciele Polonii, widząc nasze koszulki z orzełkiem, dopingowali nas: „Brawo Polska!" albo „Poland, Poland!"

Anna: — Najmniej przyjemne były w Nowym Jorku szkolne autobusy, którymi nas wożono. Okropnie obskurne i niewygodne. Dużo gorsze niż nasze „Jelcze".

„ŚM": — *Dziękujemy Wam za poświęcenie chwili czasu na rozmowę po tak wyczerpującej podróży.*

Rozmawiała JOLANTA ZDANOWSKA
Fot. **Jacek Łopuszyński**

P.S. Anna i Marek po naszym spotkaniu od razu poszli spać.

W warszawskim biegu „Sport Aid" dookoła Stadionu Dziesięciolecia wzięło udział ponad 2 tys. osób

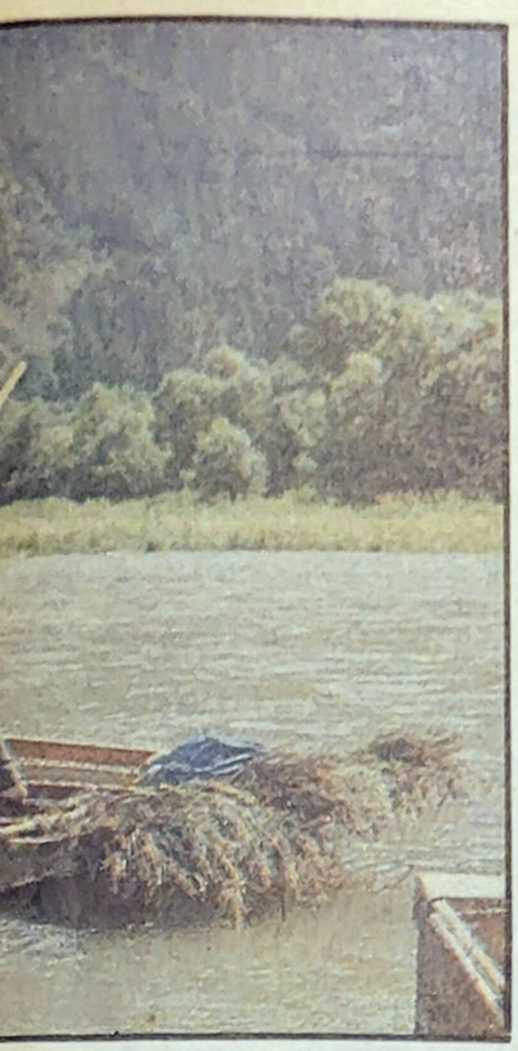

cyksiążę Karol Ludwik, brat Franciszka Józefa I, autorka do dziś czytanej „Panienki z okienka" Jadwiga Łuszczewska-Deotyma, Maria Konopnicka, Adam Asnyk. Spławili się i... zachwycali.

Ćwierć wieku temu pewien humorysta tak mawiał: „Wysiedzieć trzy godziny w pociągu to męka. Wysiedzieć trzy godziny na kiepskiej sztuce w teatrze to poświęcenie. Ale wysiedzieć trzy godziny na twardej ławie flisackiej tratwy — to rozkosz, upojenie, niezapomniane przeżycie".

Płynęliśmy więc, wprawdzie nieco krócej, i oddawali rozkoszy. Upajaliśmy się wodą, powietrzem, słońcem, widokami, gwałtownymi skrętami tratwy, świadomością głębi pod nami i wysokości ponad nami. Temu wszystkiemu towarzyszyły flisackie gadki, okruchy zbójnickich legend, zagadki. I o tym, że coraz mniej młodych garnie się do flisactwa, i o Janosiku co to przeskoczył Dunajec, by uniknąć żandarmskich kul i odcisnął w kamieniu ślady swych kierpców, i o Małżeńskim Źródle, już po słowackiej stronie (para, która napije się z niego wody, pobierze się w ciągu roku), i o grzesznych mnichach z zatopionego za karę klasztoru. A potem zagadka za zagadką: z której strony pojawi się widoczna przed nami skała? a tamten występ? a tamten szczyt? Próbujemy zgadywać, przechytrzyć pytającego, ale on i Dunajec nie dają się i mnożą widokowe niespodzianki.

Idący słowacką szosą (Dunajec to przecież rzeka graniczna) machają do nas rękoma, my do nich, robimy zdjęcia, zarabiający tu pewnie nieźle „fotografowie" robią zdjęcia nam — będą gotowe zanim dopłyniemy do Szczawnicy. I są rzeczywiście. Dopiero gdy się uważnie przyjrzeć, widać zgrabny fotomontaż: zdjęcia naszej tratwy i nad nami jakiegoś pienińskiego widoku.

A widoków po drodze nie brakowało: tatrzański Hawrań i Rysy, pienińskie Trzy Korony, Sokolica, Wilcza Skała. Jodłowe lasy, śródleśne łąki, przybrzeżne skały. Wszystko to minęło szybko i już rzeczywiście trzeba wysiadać. Można kupić zdjęcia, zjeść gofry, zdecydować się na jakieś pamiątki. I czas wracać. By potem próbować opowiedzieć to innym. I chcieć to przeżyć jeszcze raz samemu.

JAROSŁAW LISIECKI

sackiej w Kątach wyszło zza chmur słońce i nie opuszczało nas właściwie aż do końca spływu, czyli do samej Szczawnicy. Trochę bałaganu przy podziale na dziesięcioosobowe „załogi" (tyle zabiera każda tratwa) i już ruszamy prowadzeni pewną ręką flisaków — „majstra" na przedzie i „pomocnika" na rufie. Oni znają rzekę jak własną kieszeń i płyną po niej, jakby prowadził ich wymalowany jakimiś znakami na falach szlak. Ale i im może przytrafić się chwila nieuwagi. Tak było na naszej tratwie, kiedy to rzeczny prąd wyrwał „majstrowi" żerdkę, za długo pewnie dotykającą dna. Ale była zapasowa i mogliśmy bezpiecznie płynąć dalej.

Tak pływa się tym rzecznym wąwozem, stanowiącym atrakcję na miarę weneckich gondoli, co najmniej od stu pięćdziesięciu lat. I chętnych jest coraz więcej. Tych, którzy chcą dołączyć do sławnych poprzedników i spławić się tą rzeką tak, jak zrobił to podobno już sam król Władysław Jagiełło. To jedna z wielu legend flisackich. Ale nie ma wątpliwości, że przed nami byli tu: ar-

OPONY ZAMIAST WĘGLA

W okolicach miasta Modesto w Kalifornii (USA) wznosi się jedyny w swoim rodzaju pomnik cywilizacji. Góra usypana z 42 milionów starych opon, składowanych tam od 1964 roku. To gigantyczne śmietnisko z roku na rok stawało się coraz większym zagrożeniem dla zdrowia, a nawet życia okolicznych mieszkańców. Podobne, acz znacznie mniejsze składowisko w stanie Wirginia zapaliło się w zeszłym roku i spowodowało skażenie ziemi oraz powietrza w promieniu kilkuset kilometrów.

Dlatego też z ulgą przyjęto wiadomość, iż opracowana została metoda niszczenia starych opon. W pobliżu Mount Goodyear (jak nazywana jest ta góra opon) wybudowano zakład, który spalając w temperaturze 1000°C osiemset opon na godzinę, produkuje 14 megawatów energii elektrycznej.

(mjm)

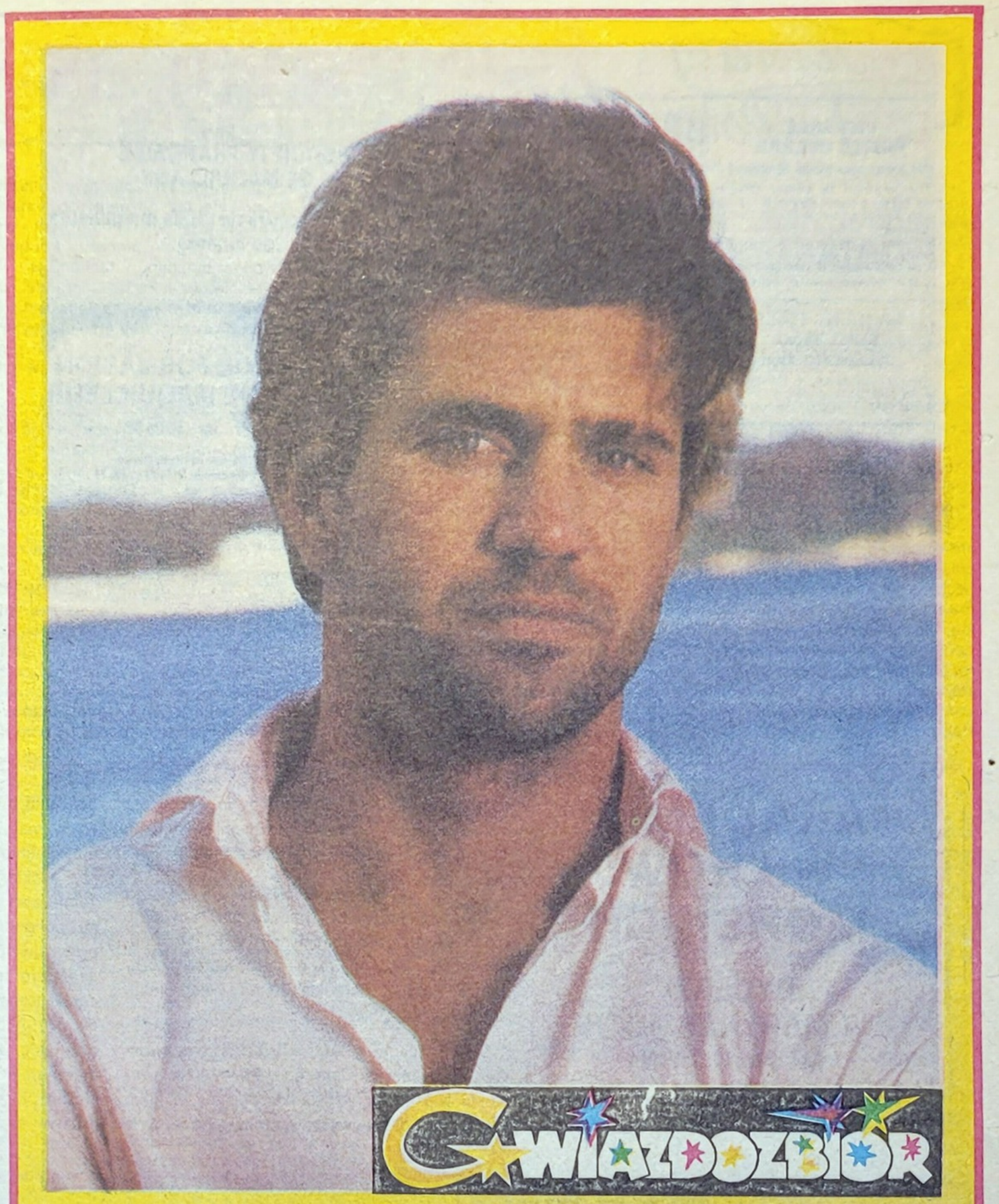

MEL GIBSON — „uwiera" go strój Mad Maxa

Dla większości polskich widzów to aktor dobrze znany wyłącznie z wideo-ekranów, ale z pewnością niektórzy pamiętają tego przystojnego Australijczyka i z kina. Oglądaliśmy go parę lat temu w „Roku niebezpiecznego życia" Petera Weira — znakomitego australijskiego reżysera. Był to film sensacyjny o autentycznych wydarzeniach politycznych w Indonezji w 1967 roku, kiedy to obalono prezydenta Sukarno. Grał australijskiego dziennikarza, który „wypada" z roli biernego obserwatora i wplątuje się w niebezpieczne sytuacje. Równie ambitną rolę grał wcześniej pod kierunkiem tego samego reżysera. Film nosił tytuł „Gallipoli" i opowiadał jak Francuzi i Anglicy w czasie I wojny światowej próbowali opanować drogę przez Dardanele.

„Mad Max", „Mad Max II" i „Mad Max pod Kopułą Gromu" to trzy bestsellery filmowe produkcji hollywoodzkiej — do dziś wideo-hity. Są historiami z nieokreślonej bliżej, acz dość niesympatycznej przyszłości, o policjancie, który w okrutny i bezwzględny sposób (nie bez przyczyny oczywiście) walczy ze złem. Ten wizerunek skreślony ostrą kreską w niewątpliwie emocjonującym, pełnym zaskakujących pomysłów i znakomitej techniki filmie nie powinien jednak przesłonić innej twarzy Mela Gibsona.

Jest doskonałym aktorem teatralnym, który występuje z powodzeniem w repertuarze — od klasycznego, przez szekspirowski po współczesny. Jest twórcą ambitnym — zapowiada, że już niedługo sam stanie nie tylko przed, ale i za kamerą. Jest też czułym ojcem licznej rodziny.

Choć urodził się w Ameryce i właśnie w, jakże amerykańskim, Hollywood zdobył pozycję światowej gwiazdy, pozostał wierny ziemi, gdzie został wychowany i wykształcony — Australii, do której niegdyś wyemigrowali z Nowego Jorku jego rodzice z jedenastką (!) dzieci. Woli mieszkać na stałe w australijskim ranczo (600 akrów) niż w najpiękniejszych apartamentach Los Angeles. Nigdy nie widuje się go na hollywoodzkich przyjęciach. Gdy kończy filmowe zdjęcia wraca natychmiast do swego odległego domu na „małym" kontynencie. Oczekuje go żona Robin i czwórka dzieci: 7-letnia Hannah, 5-letni bliźniacy: Edward i Christian i 4-letni Will.

— *Być aktorem* — stwierdza Mel — *oznacza uprawianie zawodu, który może przynosić sporo pieniędzy... Ale dla mnie większą wartość ma rodzinne szczęście. Wszystko na ekranie jest sztuczne — zarówno działanie, jak i porywy serca. A kiedy wracam do domu, wiem, że żona przecież nie gra i że dzieci biegną mnie powitać, bo są po prostu rzeczywiście stęsknione. Pamiętam, jak szczęśliwi byliśmy w domu rodziców, zasiadając wspólnie, całą trzynastką, przy stole. I do dziś wszyscy utrzymujemy ścisły kontakt. Wielkie rodziny naprawdę uczą miłości! A dzieci, by być w pełni szczęśliwe, potrzebują jeszcze kontaktu z przyrodą.*

Ostatni film z Melem Gibsonem nosi tytuł „Fatalna broń". Jego nakręcenie poprzedził półtoraroczny odpoczynek aktora po trzech „Mad Maxach". Uważał, że ta rola mogła już zmęczyć publiczność. Chciał, gdy ten jego obraz zatrze się w pamięci, pokazać coś zupełnie nowego. Wprawdzie znów był to policjant, ale tym razem nie miał w sobie nic z herosa. Jednak, choć „Fatalna broń" Richarda Donnera odniosła znaczny sukces (już zapowiedziana została kontynuacja przygód policjanta Riggsa) — artysta niepokoi się o swoją filmową przyszłość. — *Wciąż proponuje mi się filmy ze scenami przemocy* — uskarża się. — *A ja naprawdę wolę choćby i romanse... Chcę być na ekranie sobą. Moje stare ubranie odpowiada mi bardziej niż supermodny strój. Jest z pewnością wygodniejsze!*

EWA BIELSKA

Uwaga! W poprzednim „Gwiazdozbiorze" umknęły naszej uwadze nazwiska osób, które za rozwiązanie 9 zagadki LAG wylosowały książki. To Paula Półtoranos z Zakopanego i Andrzej Lachowski z Hrubieszowa. „Gwiazdozbiór" przeprasza i gratuluje.

Tematy z Polski

ŻOŁNIERSKIE POWINNOŚCI

„Póty państwa, póki wojska" — głosi stare powiedzenie. I jest to prawda. Bo rzeczywiście, własna armia jest jednym z najważniejszych przejawów suwerenności państwowej. Doświadczyliśmy wszak w naszej historii, zwłaszcza w czasie II wojny światowej, że tam gdzie były wojskowe oddziały, tam gdzie orzełek patrzył z wojskowej czapki — był kawałek Polski. Kiedy, po wrześniu 1939 roku, terytorium naszego kraju było okupowane, cały czas istniała armia. Początkowo na Zachodzie, później także na Wschodzie. I było to mocne świadectwo, że Polska nie umarła, żyje.

Okazją do tej refleksji jest 45-lecie Ludowego Wojska Polskiego splatające się z 70. rocznicą Niepodległości. Te dwie daty są wzajemnie ze sobą powiązane w tym sensie, że znakiem i gwarantem niepodległości jest właśnie wojsko. Te rocznicowe okazje skłaniają do zastanowienia się nad rolą wojska w państwie. Różne są bowiem żołnierskie powinności.

Pierwszą i najważniejszą — pozostaje obrona Ojczyzny. To jest jasne i komentarzy nie wymaga.

Drugą — służba Ojczyźnie w inny niż zbrojny sposób. Gdy panuje pokój, wojsko włącza się w swoiste „fronty walki". W czasie klęsk żywiołowych, powodzi, huraganów — spieszy z pomocą. Gdy trzeba budować — staje i do tej pracy. Już przyzwyczailiśmy się, że drogi i ulice budują żołnierze, stawiają szkoły, przerzucają mosty. Często nawet liczymy na ich pomoc, gdy „cywile" zawalają terminy, marudzą, ślamazarnie zabierają się do pracy. Wystarczy sięgnąć do gazet sprzed kilku lat: przy budowie Trasy Łazienkowskiej uczestniczyło wojsko, przy Dworcu Centralnym — wojsko, przy ekspresowej drodze Warszawa–Katowice — wojsko. I tak dalej, i tak dalej...

Trzecią żołnierską powinnością jest wychowanie. Dla wielu młodych obywateli służba wojskowa stanowi pierwszy kontakt z „prawdziwym światem". Tu zdobywają nie tylko wiadomości, jak zbudowany jest karabin, ale też poznają mechanizmy rządzące życiem społecznym. Wojsko to z reguły pierwszy kontakt z wysoką techniką i technologią. Tu uczą się nie tylko strzelać, ale zdobywają prawa jazdy i inne umiejętności niezbędne, by stać się wykwalifikowanym robotnikiem. Tych przykładów wychowawczej roli wojska można przytaczać więcej.

Piszę zaś o tym dlatego, że ostatnio zapanowała jakby moda na „wojskowstręt", na unikanie służby wojskowej, na to, by o armii mówić źle lub z lekceważeniem. Myślę, że moda ta wynika w dużej mierze z bezmyślności, z braku rzetelnej wiedzy o tym, jak wszechstronne funkcje w społeczeństwie wojsko sprawuje. Wojsko, bowiem, to także propozycja męskiej przygody. Nie tylko dlatego, że jest to wyłącznie męskie zajęcie, ale i dlatego, że istnieje tu, co zrozumiałe, pewien reżim i rygor, potrzeba dyscypliny i konieczność pokonania własnej słabości. Warto też wspomnieć i o tym, że dla wielu pokoleń Polaków służba w polskim wojsku była nieosiągalnym marzeniem.

Prawdą jest, że świat zmierza w stronę trwałego pokoju. Takie są nadzieje społeczeństw. Ale pozostaje to, niestety, tylko marzeniem, planem, programem. Dopóki bowiem istnieć będą siły zainteresowane zmianą układu międzynarodowego, dopóki nie wygasną roszczenia terytorialne w stosunku do sąsiadów — armia stanowi jedną z gwarancji pokoju. Bo dziś pokój w Europie i na świecie opiera się, niestety, przede wszystkim na równowadze wojskowej. Nie jest to dobra podstawa pokoju, ale takie są fakty. Myślę, że nawet jeżeli ta funkcja wojska stanie się nieaktualna (a nie jest to bliska perspektywa), to przecież pozostanie zawsze wspomniana już funkcja wychowawcza i „wewnętrzna".

Święto polskiego wojska przypada na rocznicę bitwy pod Lenino. Wówczas po raz pierwszy oddziały polskie walczące u boku radzieckiego sojusznika zetknęły się z wrogiem w walce. Ale rocznica ta nie może stać się też powodem pomniejszenia wysiłku zbrojnego innych polskich żołnierzy walczących o Polskę na innych frontach. W Dzień Wojska Polskiego więc z szacunkiem — obok żołnierzy I Dywizji — wspomnijmy lotników polskich walczących o Anglię i dywizję pancerną gen. Maczka, i II Korpus gen. Andersa, wreszcie wielką armię walczących bez mundurów w kraju żołnierzy Ruchu Oporu. Krew przelana na polach bitewnych ma jednakową wartość i przykładanie tu miary politycznej byłoby zwykłym nadużyciem i poniewieraniem narodową pamięcią.

Gdy ktoś ma imieniny, zwykle składa się mu życzenia. I w tym wypadku trzeba uczynić zadość tradycji. Jakie to powinny być życzenia? Ano, żeby wojsko było sprawne, dobrze wyszkolone i przygotowane, ale by nie musiało tego udowadniać na polach bitewnych. By w dalszym ciągu było szkołą życia i obywatelskiego wychowania. By powszechny stosunek do munduru był nacechowany szacunkiem i uznaniem.

„Póty państwa, póki wojska"...

JAN ORGELBRAND

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

AKADEMIA WILKÓW MORSKICH

RYCERZE W MARYNARSKICH MUNDURACH

Tak, nie ma w tym określeniu żadnej pomyłki. W akademii działa Wojskowy Krąg Instruktorski „Komodorzy" wyróżniony krzyżem „Za zasługi dla ZHP". Należy do niego kilkunastu instruktorów, którzy naukę łączą z działalnością w harcerstwie.

Dlaczego się na to zdecydowali? Spytałem ich o to, gdy spotkaliśmy się w Klubie Podchorążego. Przecież na nadmiar wolnego czasu nie mogą narzekać, plan zajęć mają szczelnie wypełniony.

Dla instruktorów harcerstwo jest możliwością oderwania się od codziennej rzeczywistości wojskowej. Prowadzą drużyny w kilku szkołach podstawowych. Wszędzie na samym początku budzili zdziwienie. Jak to? Drużynowy w marynarskim mundurze? Ale ten mundur właśnie przyciągał do drużyny i nieharcerzy. Niektórzy myśleli — „O, drużynowy jest żołnierzem, to na pewno jutro zaprowadzi nas na poligon, a za tydzień przejedziemy się prawdziwym czołgiem". I choć aż tyle nie udało się zorganizować, to jednak część harcerzy uczestniczyła w biwaku na prawdziwym okręcie. Ach, co to była za radość, gdy dowiedzieli się, że będą nocować w prawdziwych marynarskich kojach. Wszak nieczęsto zdarza się taka okazja. Prowadzone przez marynarzy drużyny są bardziej od innych zdyscyplinowane, choć wbrew pozorom nie ma w nich wojskowego rygoru, są za to prawdziwe partnerskie stosunki.

To już koniec naszej wycieczki w poszukiwaniu romantyzmu marynarskiego. Choć nam cywilom nie udało się go znaleźć, to — jak stwierdził jeden z harcerzy podchorążych — „tu na okręcie w czasie długich rejsów każdy musi być trochę romantykiem, trochę uparciuchem". I z pewnością miał rację. Przed nami romantyzm po prostu się schował.

KRZYSZTOF KILIJANEK

WAKACJE W DOLINIE KLONOWEGO LIŚCIA

Ewa Przybylska 9

Znowu umilkła. Ale teraz dzieci miały już pewność, że tylko na chwilę. Na tak długo, aż odświeży w sobie obraz Miasteczka z tamtych lat, kiedy to ludzie z karabinem na ramieniu chodzili nawet do kościoła...

— Pięknie wtedy było... — rozmarzył się Mietek. — A jak człowiek nadepnął na granat, to leciał wprost do nieba...

— Ty jak zwykle niewiele rozumiejący — obruszyła się ciotka. — Kto by tam chciał tak zaraz do nieba ulecieć!... Szczęścia na ziemi nie wypróbowawszy...

Teraz Mietek się obruszył.

— Przecież ciocia sama chciała ulecieć, dobrze pamiętam...

— Ja nigdy nie była jak mój Szymcio — odrzekła ciotka surowo. Jak zobaczyła furkający pocisk, to nie sprawdzała czy to kula czy granat. Tylko złapała i wont w krzewy!...

— Pół szopy wtedy wyleciało!... — przypomniał rozpromieniony Mietek. — Cztery kury prześmignęły dobrze z kilometr, zanim się rozleciały na kawałki... Szkoda, że mnie wtedy nie było!

— Nikogo wtedy nie było — przypomniał Janek. — Dopiero odbywało się wesele.

— Ślub — poprawiła ciotka. — Najpierw był ślub. To były porządne czasy.

— Czy ja dobrze zrozumiałam? — odezwała się Kralowa ze swego krzesła. — Granat rzucono w orszak ślubny? W pannę młodą całą w bieli? Może rzucił go ktoś zazdrosny?

Ciotka, o dziwo, nie obruszyła się.

— Możliwość — zgodziła się. — Co to by była za panna, żeby się o nią nie zabijali.

— A jakby granat w Tatę trafił? — spytał Sreberko drżąc z podniecenia.

— O nie! — rzekła stanowczo ciotka. — Za dużo ja się natrudziwszy, żeby on Zośkę za życia poznał... Tak ja złapawszy żelastwo, majtnęła nim w krzaki...

— A jakby ktoś w nich stał? — upewniał się Sreberko nie mogąc się uspokoić.

— To by już było jego ludzkie przeznaczenie — odparła ciotka Rozalia.

Pomilczeli chwilę, wyobrażając sobie, co by się wydarzyło, gdyby granat rozerwał się w rękach ciotki. Ale ona o tym nie myślała. Siedziała wyprostowana, z haftowaną poduszką pod głową i uśmiechała się do tamtego pięknego dnia sprzed lat, kiedy Spychałowie pojawili się całą gromadą w Miasteczku.

— Spychały! — rzekła. — To był ród! Osobowy przyszedł wtedy punktualnie...

— A Naczelnik, który nie miał wtedy czapki, kuśtykał po peronie — zatrajkotał Mietek.

— Walek Nieznany kuśtykał — poprawiła ciotka. — Nogę mu wystrugali z dębiny, to ciągnęło go po ziemi... A Spychały, wysiadłszy, kroczyły środkiem ulicy, bo na chodnikach był gruz... Najpierw najmłodsze, a było ich dwóch, ot takich jak Mietek... Potem dwa wyrostki, potem jeszcze dwa o łeb wyższe... A na koniec szedł Tadźko, jeden jedyny pojedyńczy, z głową na zero, bo akurat tyfus przeszedłszy... Tadźko już wtedy mierzył te swoje sto osiemdziesiąt, tylko wagi nie miał oficjalnej... Za Tadźkiem szły ojce. Stary był jak synowie nad podziw wyrośnięty. A ona malutka, do łokcia sięgając, nie wyżej... Szli statecznie, a co który młodzik podskoczył, czy zerknął na cudze opłotki, to go zaraz ten drugi przywoływał do godnego porządku. Za płotami stali ludzie i przyglądali się oblubieńcowi Zosieńki... Zosieńka zaś cała w kwiatach, stała w progu domu i czekała, aby witać. Nie wybiegłszy za furtkę, bo to by znaczyło, że stoi niżej. Ale i też nie zostawszy w domu, bo to by był brak poważania. Tak więc stała w progu, a jej matka a moja siostra poszła na witanie aż za furtkę, bo tak jej jako gospodyni wypadało...

Umilkła. Znowu popatrzyła do tyłu na tamten obraz sprzed wielu lat tak piękny, że musiała się doń bez przerwy uśmiechać.

— Ciocia Zosieńka wyglądała pewnie prześlicznie w powiewnej bieli... — odezwała się Kralowa ze swego krzesła, nieco przejęta. — Uważam, że biel wyraża najpełniej uczucia młodej panny...

— Ciotka Rozalia wysłuchała jej do końca bez zniecierpliwienia. Wciąż uśmiechała się przed siebie.

— To był piękności ślub! — rzekła. — Zosieńka szła z Tadźkiem u boku, taka mała, wcale nie wystraszona, z loczkami pod welonem, a co ojce Tadźka na nią spojrzeli, to miękli jak wosk... Wreszcie skinąwszy przywołali ją i szepnęli do ucha... Zosia wtedy splonąwszy...

— Co szepnął dziadek mamie do ucha? — spytał zaintrygowany Mietek.

Ciotka zawahała się.

— Ty nam dziewczynkę daj, szepnął — wyznała z oporem.

— No nie! — oburzył się Mietek. — To już dziadkowie tacy byli?!

— Ja to rozumiem — odezwała się Kralowa marząco. — Pewnie całe życie śnili o córeczce, która by im umilała życie...

— A bójżesz się ty! — zakrzyknęła ciotka Rozalia. — Mieli ich siedmiu! A jak by ich siedmiu w soldaty poszło, to kto by przy ojcach robił?

— Nie uwierzę, abym się urodziła tylko po to — powiedziała Kralowa.

— Tyś się nawet nie po to rodziła — rzekła ciotka Rozalia gniewnie — tylko żeby majtać nogami! Inne dzieci w doktory pójdą, albo może — niech mi Bóg odpuści — w ministry! A ta tyłek pokazuje!

— Jestem artystką — rzekła Kralowa wyniośle. — Mam wielki talent. Babcia musi się z tym pogodzić.

— Ja nie od tego, żebym się godziła! — ofuknęła ją ciotka. — Ja nie twoja matka miękliwa jak wosk! U mnie ty nie poczujesz ani migdałków ani talentu! U mnie jest normalny przedwojenny dom, tu ludzie po prostu żyją!...

Ciotka Rozalia wstała. Dzieci zrozumiały, że piękny klimat minął bezpowrotnie i to znowu z powodu Kralowej.

— Wariatka jesteś! — wysyczał jej w ucho Mietek.

— Nie jestem do was podobna — odrzekła z wyższością Kralowa, poczem odpłynęła w ogród.

Sreberko, który usłyszał opowieść ciotki Rozalii po raz pierwszy w życiu, nie mógł się uspokoić. Kralowa zniknęła, nie mógł jej przekazać, co o niej myśli. Ale oczy Sreberka nadal ciskały błyskawice, gdy tylko spojrzał w okno, za którym Kralowa, pochylając się wdzięcznie, wąchała kwiatki. A nade wszystko Sreberko nie mógł się w tej chwili pogodzić z tym, iż urodził się ostatni.

— Gdybym to ja był pierwszym Spychałą — rzekł do Janka — porozmawiałbym z ciotką w cztery oczy. Poważnie. Wtedy musiałaby odpowiedzieć na każde pytanie.

— Nie ona — na to Janek krótko.

Sreberko nie słuchał.

— A tak odpowiada mi tylko, idź się pobawić, Sreberko. Czy to jest sprawiedliwie?

— Zależy — odrzekł Janek.

— Na dodatek ten narwany Mietek jest zaraz po tobie. A potem Łukasz, który kocha tylko Azę, chociaż ona ma go w nosie. Mnie pozostał tylko Mariusz, który lubi tylko siebie. Czy to jest sprawiedliwie?

— A ty kogo lubisz?! — napadła na niego Paulina, wstając z podłogi.

Sreberko zamilkł, zaskoczony.

— Siebie, jak Mariusz! I swój brzuch, żeby był pełny. I swój łeb, żeby się za dużo nie martwił. Jak na was patrzę, to od razu nie chcę mieć dzieci. Nigdy. Nawet jak będę całkiem stara i nie będę miała co robić!... Rozumiesz to, kmiotku?!

Sreberko słuchał oszołomiony wybuchem. Nie czuł jednak urazy. Coś w środku podpowiadało mu, że Paulinie nie o niego chodziło i nie o Mariusza. Po prostu nagle odechciało się jej żyć. Sreberko świetnie rozumiał takie stany. Jemu także niekiedy nie chciało się żyć na samą myśl, że musi donaszać po tych starszych. Toteż zamiast się obrazić, powiedział wspaniałomyślnie:

— Daruję ci. Od dawna wiem, co to niesprawiedliwość!

Paulina popatrzyła na niego, poczem bez słowa wyszła z pokoju. Ciotka Rozalia siedziała w ogrodzie w altance obrośniętej różami. Było to miejsce, w którym kryła się przed innymi, aby sobie to i owo przemyśleć. Twarze przodków a nade wszystko twarz wuja Szymona rozpraszały ją, wtedy bowiem natychmiast zjawiał się wielki żal, że już ich wszystkich nie ma.

Ręce ciotki Rozalii układały wiązankę kwiatów, podczas gdy głowa myślała o czymś innym. Paulina zawahała się. Ciotka jednakże zawołała ją cicho. Siedziały najpierw długą chwilę nie rozmawiając. Palce ciotki niesłychanie zręcznie wiązały kwiaty w prześliczne małe bukiety, które potem sprzedawała przed kościołem lub ofiarowywała, komu chciała.

Cdn.

Redaguje LECH BĄK

KROK SIEDEMDZIESIĄTY DZIEWIATY

GRA W ŻYCIE — WYNIK KONKURSU

Bezpośrednio przed wakacjami ogłosiłem dwa konkursy: pierwszy na ułożenie programu ilustrującego działanie jednowymiarowych automatów komórkowych czyli pewnej odmiany „gry w życie", zaś przedmiotem drugiego (o wiele prostszego) był program rysujący ciąg kwadratów wpisanych jeden w drugi. Zajmijmy się dziś „grą w życie". Przypomnę reguły naszej prostszej wersji „gry w życie". Pionki ustawiamy tylko w jednej poziomej linii. Sąsiedztwo każdego pola ogranicza się tylko do dwóch pól: z lewej i z prawej strony. W polu zapisujemy liczbę naturalną, nie większą od pewnej liczby ustalonej przed rozpoczęciem gry. Losy tej komórki zależą od sumy wartości wpisanej w nią samą oraz wpisanych do jej sąsiadów. Reguły ruchu (zmiany pokolenia) są takie: wcześniej ustalone prawo mówi, jaka liczba będzie wpisana w tę komórkę, znając sumę (liczb wpisanych do sąsiadów i do danego pola).

Zaproponowałem, aby zamiast liczb na ekranie komputera wyświetlać różnokolorowe kwadraty lub kropki, tzn. każdej liczbie przyporządkować jakiś kolor. W ten sposób obserwując kolejne pokolenia nie znudzimy się oglądając ciągi cyfr, a być może na ekranie pojawi się przyjemny dla oka wzorek.

Rozwiązanie zadania zaproponowane przez Mariusza Filipiaka realizuje te zasady. Zaprezentuje je sam Autor.

Szanowny Panie Redaktorze!

Napisałem program rysujący kolorowe plansze zgodnie z zasadami „Gry w życie". Jest on przeznaczony dla ZX Spectrum. Cały jest napisany w BASIC'u. Wykorzystuje siedmiobarwną grafikę oraz skromne efekty dźwiękowe dostępne na tym komputerze.

Oto dokładniejszy opis programu:

Linie 10–20 — deklarowane są rozmiary tablic, oraz ustalana wartość tablicy s.

Linia 30 — przyjmuje prawo kierujące następnym pokoleniem. Należy wpisywać cyfry pod odpowiednimi wartościami.

Linia 40 — przyjmuje stan początkowy. Musi się on składać z 3–32 cyfr.

Linia 50 — zawartość zmiennej a zł przepisywana jest do tablicy a.

Linia 55 — rysuje w kolorach postać pokolenia. Zamiast dwóch cudzysłowów i spacji za instrukcją INK9 można wpisać: a(p). Na ekranie będą wtedy widoczne zawartości poszczególnych komórek.

Linie 60–80 — wpisują do tablicy b sumy sąsiadów danej komórki. W linii 60 i 80 realizowane są szczególne przypadki tego sumowania (początkowe i ostatnie).

Linia 75 — umożliwia rozpoczęcie pracy programu od początku, tzn. po naciśnięciu spacji można ustalić nowe parametry.

Linia 90 — przepisuje tablicę b do tablicy a z uwzględnieniem prawa. Następnie program powraca do linii 55.

Mariusz Filipiak

Warto dodać jeszcze kilka uwag do programu i do opisu. W linii 50 przepisanie zawartości zmiennej aż do tablicy a, to nic innego jak zamiana cyfr na liczby. Jeśli dopuszczamy występowanie 8 kolorów, to powinniśmy określić prawa dla 24 liczb — wszystkich możliwych sum trzech dowolnych liczb mniejszych od ośmiu. Dla wszystkich wartości sum większych od 9 Mariusz ustanawia przejście w zero tzn. dla sum od zera do dziewięciu użytkownik programu może ustalić własne prawa, natomiast dla sumy powyżej 9 — nie ma takiej. Niebezpieczne jest również deklarowanie zmiennej p jako ciągu znaków. Co się stanie, gdy ktoś w linii 30 wpisze za mało znaków?

Można spróbować wprowadzić takie poprawki, ale nie jest to konieczne, natomiast zabawa z programem może być całkiem miła.

Postanowiłem nagrodzić również program napisany w języku LOGO przez **Jerzego Dołowskiego** z Dukli, choć nie podał on właściwego rozwiązania tego zadania (prawdopodobnie Jurek nie do końca zrozumiał zasady naszej gry), jednakże po kilku małych przeróbkach byłby to bardzo dobry program.

Nagrody — ufundowane przez **Redakcję Programów Komputerowych Krajowego Wydawnictwa Czasopism** — kasety z programem pt. „Klio 1"

przesyłam Jerzemu Dołowskiemu z Dukli i Mariuszowi Filipiakowi z Poznania.

```
10 DIM s(10): DIM b(32): DIM a(32)
20 FOR x=0 TO 9: LET s(x+1)=x: NEXT x
30 INPUT "Wpisz prawo dla danych
   wartości: 0123456789" ; LINE p$
40 INPUT "Stan początkowy (max 32
   cyfry):" ; LINE a$: LET l=LEN a$:
   IF l<3 OR l>32 THEN GO TO 40
50 FOR x=1 TO l: LET a(x)=VAL a$(x):
   Next x
55 PRINT TAB (32-l)/2;: FOR p=1 TO l:
   BEEP .005, a(p): PRINT BRIGHT 1;
   PAPER a(p); INK 9;" ";: NEXT p:
   PRINT
60 LET b(1)=a(1)+a(2): IF b(1)>9 THEN
   LET b(1)=0
70 FOR y=2 TO l-1: LET b(y)=a(y-1)+
   a(y)+a(y+1): IF b(y)>9 THEN LET
   b(y)=0
75 IF INKEY$=" " THEN GO TO 10
80 NEXT y: LET b(l)=a(l-1)+a(l):
   IF b(l)>9 THEN LET b(l)=0
90 FOR x=1 TO l: LET a(x)=VAL
   p$(b(x)+1): NEXT x: GO TO 55
```

DAIHATSU ROCKY 4 WD

DOKOŃCZENIE ZE STR. 8

W pierwszej wersji — normalnej — rozwija on moc 54 kW (72 KM) przy 3600 obr./min. Druga wersja posiada zamontowaną turbosprężarkę, dzięki niej moc silnika wzrosła do 65 kW (88 KM) przy tej samej liczbie obrotów.

Silnik ten umieszczony jest z przodu pojazdu i poprzez 5-przekładniową skrzynię biegów oraz skrzynię rozdzielczą mocowaną przy skrzyni biegów, napędza bezpośrednio koła tylne, a poprzez skrzynię rozdzielczą istnieje możliwość włączania napędu kół przednich.

Konstrukcja samochodu oparta jest na ramie podwoziowej. Obydwie osie napędowe zawieszone są na resorach piórowych, których drgania tłumią amortyzatory teleskopowe, umieszczone w pobliżu każdego z kół. Osie te są sztywne, czyli zawieszenie zarówno przednich jak i tylnych kół jest typu zależnego (przy wjechaniu jednego z kół — zamocowanych na tej osi — na przeszkodę, jego ruchy i drgania przenoszone są na drugie koło).

Hamulce przy przednich kołach są tarczowe, przy tylnych bębnowe.

Wnętrze pojazdu może być wykonane:

— w odmianie z tylko dwoma siedzeniami z przodu dla kierowcy i pasażera; pozostała przestrzeń stanowi skrzynię ładunkową,
— w odmianie 4-osobowej z dwoma oddzielnymi siedzeniami z przodu i siedzeniem kanapowym z tyłu, przeznaczonym dla 2 lub 3 osób,
— w odmianie 6-osobowej z dwoma fotelami z przodu i dwoma ławeczkami umieszczonymi na skrzyni ładunkowej, wzdłuż bocznych jej ścian. Na każdej ławeczce mieszczą się 2 osoby.

Nadwozie tego samochodu jest trzydrzwiowe, trzecie drzwi znajdują się z tyłu. Do tych tylnych drzwi mocowane jest koło zapasowe.

Z dodatkowego wyposażenia pojazdu warto wymienić: spryskiwacze do mycia przednich reflektorów, wycieraczkę szyby tylnej, podświetlane lusterko wsteczne, odsuwany dach nad przednimi siedzeniami, w wersji z plastykowym dachem.

ZENON DUTKIEWICZ

KAKTUSOWE HOBBY

Można hodować je po kilka w jednej doniczce. Niektóre z nich, za troskliwą opiekę odpłacają się pięknymi kwiatami. Nie są zbyt wymagające, bowiem ich ojczyzną są suche tereny, nierzadko skaliste góry.

Fot. **W. Mroczek**

UŚMIECH NUMERU

MĄDRALÓWNA przechwala się:

— Mój nauczyciel muzyki powiedział, że z moim głosem mogę iść do opery..!

— Pewnie — potwierdza Iksińska — tylko musisz sobie wcześniej kupić bilet...

★

PAN MĄDRALA pyta sąsiada w autobusie:

— Dlaczego tak długo stoimy?!

— Kierowca okazał się tak grzecznym człowiekiem, że w tym tłoku ustąpił swego miejsca jakiejś starszej pani...

dawno... niedawno...

POLSKI PAPIEŻ

16 października 1978 roku z komina zainstalowanego na dachu Kaplicy Sykstyńskiej w Watykanie uniósł się biały dym. Był to znak, że konklawe (czyli zgromadzenie kardynałów zwołane w celu wyboru nowego papieża) zakończyło prace i że za chwilę z balkonu wychodzącego na Plac Św. Piotra rozlegnie się tradycyjna formuła: „Habemus papam", czyli „Mamy papieża".

Zaskoczenie obserwatorów tego wydarzenia było kompletne, gdy okazało się, że po 455 latach Tron Piotrowy (tak zwykło się określać funkcję papieża) wymknął się Włochom, spośród których tradycyjnie już dokonywano wyboru głowy Kościoła. Oto bowiem 264 papieżem został arcybiskup Krakowa, polski kardynał, Karol Wojtyła, który przybrał imię Jana Pawła II.

Od owego październikowego dnia upłynęło równe 10 lat. Jest to okres skłaniający do próby bilansu. Oczywiście, nie jest naszą rolą wypowiadać się w sprawach teologicznych i duszpasterskich; wypada jedynie przypomnieć, że opinia publiczna, zwłaszcza na Zachodzie, uważa pontyfikat Jana Pawła II pod tym względem na tradycjonalny i zachowawczy. Jednak we współczesnym świecie ranga i znaczenie papieża znacznie wykraczają poza instytucję Kościoła rzymsko-katolickiego. Jest bowiem autorytetem moralnym, politykiem, włączającym się w nurt życia międzynarodowego. Sprawuje on, przynajmniej w teorii, rząd dusz nad ponad miliardem ludzi, mieszkających prawie we wszystkich krajach świata. To powoduje, że publiczna działalność papieża wywiera wpływ na społeczność międzynarodową.

Jan Paweł II zdobył nie kwestionowaną popularność. Sprawiło to przede wszystkim jego niestrudzone działanie na rzecz pokoju. Charakterystyczne jest zdanie, jakie wypowiedział niemal na początku pontyfikatu, bo w 1979 roku: *„Przemoc jest nie do przyjęcia jako rozwiązanie dla istniejących problemów. Przemoc jest kłamstwem, bo sprzeciwia się (...) prawdzie ludzkości (...). Prawdziwa odwaga to praca na rzecz pokoju"*. Paradoks historii chciał, że sam padł ofiarą przemocy: 13 maja 1981 roku dokonano na niego zamachu terrorystycznego.

Tę misję głoszenia konieczności pokoju we współczesnym świecie papież spełnia m.in. przez liczne podróże na wszystkie kontynenty, do dziesiątków krajów świata.

Drugim powodem popularności Jana Pawła II jest jego styl sprawowania najwyższego urzędu kościelnego. Zwłaszcza na tle dotychczasowego skostniałego ceremonialnego, jakby z dawno minionego czasu, sposobu działania Kościoła — „nowy" papież wyróżnił się dynamizmem, energią, łamaniem konwenansów, jeżeli te przeszkadzały w sprawowaniu urzędu, nowymi inicjatywami. Za jego pontyfikatu doszło też do zasadniczej reformy urzędów watykańskich, także do decentralizacji w zarządzaniu sprawami Kościoła.

Przede wszystkim jednak Jan Paweł II jest kontynuatorem linii swych poprzedników, którzy począwszy od Soboru Watykańskiego II próbują przybliżyć Kościół do współczesności. *„Jesteśmy — my wszyscy, którzy obecnie żyjemy na Ziemi — pokoleniem, które uświadamia sobie już bliskość trzeciego tysiąclecia"* — powiedział kiedyś.

Najpoważniejszymi kandydatami do tegorocznej pokojowej Nagrody Nobla są: Michaił Gorbaczow, Ronald Reagan i właśnie Jan Paweł II. Dwaj pierwsi mogą realnie wpłynąć na to, by świat stawał się bezpieczniejszy i bardziej pokojowo usposobiony. Ale liczy się też siła ducha i oddziaływanie moralne. W tym sensie papież, rodem z Polski, położył niemałe zasługi na rzecz uświadomienia sobie przez ludzi podstawowych wartości, które sprawiają, że pokój może stać się trwałym dobrem, bo opartym na dobrej podstawie moralnej.

SZPERACZ

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. Telex 81-36-58.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobyłecka tel. 29-21-42, **Sekretarz redakcji** Wojciech Wróblewski, z-cy sekr. red. Grażyna Szroeder-Bukowska i Lidia Wojciewska tel. 28-25-48, **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 28-77-21), Ewa Kosińska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Jan Orgelbrand (dz. krajowy tel. 28-56-18), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13). **Fotoreporterzy** tel. 21-98-28. **Graficy:** Marlena Hanke, Szarlota Pawel i Magdalena Piotrowska. **Redaktorzy techniczni:** Wiesława Chmielewska, Grażyna Pajorkowska i Barbara Zając. **Kierownik korekty:** Barbara Boguszewska; korektorki: Maria Marasek i Irena Ochrymowicz.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49, wewn. 403. Cena ogłoszeń: 450 zł za 1 cm², 200 zł za jedno słowo w ogłoszeniach drobnych. Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: NBP XV OM Warszawa nr 1153-201478-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21.

Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

SKŁAD: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" — Warszawa
DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" w Łodzi.
Zam. 3835/G/88. U-36.
Nakład 439 000 egz.

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 121 (4516)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

NA SZLAKU BEZPRAWIA 4

BINO BILL

TEKST I RYSUNKI: Jerzy Wróblewski

DOM MODY
świata młodych

TROCHĘ Z CHŁOPAKA

No, może nie tylko trochę. Coraz więcej mamy w modzie damskiej elementów przeniesionych z garderoby męskiej. Bądź dosłownie, czyli inaczej mówiąc — żywcem, bądź stylizowanych. Otwórzcie szeroko drzwi szafy i popatrzcie!

Przede wszystkim są to spodnie. Jakieś 30 lat temu był to dla dziewczyny strój wyłącznie sportowy lub — jeśli któraś ubrała się w portki w sytuacji innej niż narciarsko-łyżwiarsko-wycieczkowa — mocno ekstrawagancki. Dzisiaj, gdy nosimy spodnie od rana do wieczora, a niektóre panny całymi miesiącami się z nich nie rozbierają, wydaje się to nieprawdopodobne, ale tak było. Naprawdę.

Poza spodniami jest jeszcze cała masa innych rzeczy. Koszule, marynarki, szelki, krawaty, paski, zegarki... Tak, tak — zegarki też. Wasze babcie w młodości nosiły tzw. zegarki damskie — malutkie, często ozdobione jakimiś fidrygałkami, na wąskich, również ozdabianych wymyślnie, paseczkach. W bardzo złym tonie było, aby kobieta założyła sobie na rękę zegarek tzw. męski — więc na ogół ich nie zakładały. Dzisiaj to śmieszy, dzisiaj nawet trudno jest powiedzieć, który zegarek jest męski, a który damski, choć owe damskie ciągle jeszcze istnieją, tyle że... mało kto je nosi. Panowie, rzecz jasna, ich nie zakładają, a panie.. panie nagminnie używają tych, które kiedyś nazwano by typowo męskimi.

Bo prawda jest taka, że kobiety są w dziedzinie mody ciuchowej ogromnie zaborcze. I ciągle coś sobie z mody męskiej podkradają. Dla wygody (jak to miało miejsce np. ze spodniami) lub po prostu dla urozmaicenia. Ot, chociażby w tej chwili — jakby było nam mało tysięcy fasonów różnych torebek, torebeczek, woreczków czy innych koszyczków — sięgamy po męską teczkę-aktówkę. To będzie, a właściwie już jest najmodniejsza torebka sezonu. Opisywać jej nie ma co — wiadomo jak teczka-aktówka wygląda. Może tyle warto dodać, że w tym naszym, damskim, wydaniu bywa uzupełniona o dodatkowy długi pasek, aby ją można było nosić przewieszoną na ramieniu. Ale wcale nie jest on konieczny, może to być prawdziwa męska teczka-aktówka, bez tego dodatkowego paska też. Więc wcale nie trzeba biec do sklepu, wystarczy pogrzebać w domu, popytać się taty i dziadka, czy gdzieś takiej, niepotrzebnej mu już, nie odłożył. Parę znajomych nastolatek zdobyło w ten sposób nawet po kilka takich aktówek i zadają już szyku najmodniejszymi torebkami. Spróbujcie i Wy!

RIUSZKA

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

DAIHATSU ROCKY 4 WD

Duża popularność samochodów terenowych wpłynęła i na to, że w naszym kąciku staramy się prezentować je coraz częściej. Najwięcej typów i rodzajów tych samochodów produkują oczywiście Japończycy. Każda z japońskich firm samochodowych ma w swoim programie produkcyjnym co najmniej jeden typ pojazdu terenowego.

Dziś prezentuję pojazd znanej u nas firmy Daihatsu, oznaczony marką ROCKY 4 WD. Jak wiadomo skrót 4 WD oznacza, że napęd przenoszony jest na obydwie osie samochodu, a więc na wszystkie 4 koła.

Ten samochód produkowany jest w dwóch wersjach nadwoziowych:

— z zakrytym nadwoziem, gdzie dach nad siedzeniem kierowcy i pasażera oraz przestrzeń ładunkowo-pasażerska z tyłu zakryte są płaszczyznami wykonanymi z tworzywa sztucznego,

— druga wersja ma te przestrzenie zakrywane brezentem, który nad przestrzenią ładunkową zaopatrzony został w elastyczne szyby.

Także w dwóch wersjach wytwarzany jest silnik samochodu, stanowiący jednostkę wysokoprężną, a więc zasilaną paliwem, którym jest olej napędowy. Silnik ten w obydwu wersjach posiada pojemność roboczą 2765 cm sześc., jest czterocylindrowy, z cylindrami w układzie rzędowym z systemem chłodzenia za pośrednictwem płynu.

DOKOŃCZENIE NA STR. 7